

Alfred Ryncarz

Urodził się Pan jeszcze przed wybuchem wojny?

Dokładnie tak, urodziłem się 1.09.1938 roku w Czarnożyłach, to jest 7 km od Wielunia, więc jak wojna wybuchła to miałem rok.

Po bombardowaniu Wielunia, które miała miejsce przed 5 rano, około godziny ósmej pierwi uciekinierzy pojawili się w Czarnożyłach. Znam to z opowieści taty- nie mamy, ponieważ jak miałem 3 lata to moja mama zmarła.

Mój tata został sam z trójką dzieci (miałem brata i siostrę) i była to ciężka sytuacja, jednak stało się tak, że na łożu śmierci moja mama poleciła swojej siostrze, aby się nami zaopiekowała i wyszła za mąż za naszego tatę, co też się później stało. Po jakimś czasie ojca zabrali na roboty na Śląsk. „Nowa” mama została z trójką dzieci i było jej z nami samej bardzo ciężko.

A Pan cokolwiek pamięta z tamtego okresu?

Mam takie wspomnienia naszego domu, który znajdował się na przeciwko boiska sportowego i tam zjawiali się Niemcy na rowerach i ćwiczili, my to podglądaliśmy ze strychu, aż ktoś z cywili zobaczył, że podglądamy i nam zabroniono, ponieważ mogli nas rozstrzelać.

Drugie wspomnienie to śmierć mamy, bo zapamiętałem mamę leżącą, siostra klęczała przy niej i płakała. Później pamiętam, jak ludzie nieśli trumnę na cmentarz i strasznie piaty koguty.

Wróćmy jednak do rodziny, co się dalej działo?

Mama nie dawała sobie z nami rady i napisała list do mojej babci (od strony taty), że potrzebuje pomocy i po pewnym czasie przyjechała po moją siostrę ciocia, ale ostatecznie zabrała mnie. Więc to był chyba październik jak z ciocią pojechałem do babci, która mieszkała w Szczytniki Czarniejewskie (pomiędzy Wrześnią a Gniezmem).

Moja ciocia pracowała wówczas u niemieckiego gospodarza (był to chyba czerwiec bo rosły białe czereśnie). Pewnego ranka przyjechały wozy drabiniaste koło naszego domu i żandarmi niemieccy kazali nam się w pół godziny spakować. Wysiedlano prawdopodobnie całą wieś, ponieważ dużo było tych wozów, a historycznie był to czas rugów pruskich. Wysiedlono mnie, babcię i jeszcze dwie ciocie, a tamta ciocia została u Niemca.

Wywieziono nas na stację kolejową, wsadzono w wagony bydłęce i dowieziono nas do Oświęcimia (wtedy nie wiedziałem jaka to była miejscowość). Ówczesny Auschwitz pracował pełną parą, ale nas tam nie zwieziono, tylko do Brzezinki.

Nie był to wtedy obóz koncentracyjny, a raczej jakiś przejściowy, ponieważ nie pamiętam aby działały się jakieś represje wobec osób przybyłych. Umieszczono nas w drewnianym baraku z pryzami, kozą na środku. Po jakimś czasie przeniesiono nas do innego baraku gdzie były też trzypiętrowe prycze, nie było jednej ściany (bo była w trakcie budowy) więc było tam bardzo zimno. Nie byliśmy przeznaczeni na stracenie, baraki były koedukacyjne. W tym baraku byłem sam tylko z babcią, nie wiem gdzie były ciocie. Łącznie byliśmy w tych dwóch miejscach około pół roku- do kwietnia 1943 roku.

Pamiętam też łaźnie, gdzie w rogu leżał zawsze stos trupów. Niemcy bali się tyfusa i innych chorób dlatego za każdym pójściem do łaźni oddawaliśmy ciuchy do odgazowania.

Gdzie następnie Was wywieziono?

Pewnego razu wsadzano nas znowu w wagony bydłęce i wywieziono do Austrii. Później już dowiedziałem się, że byli to ludzie przeznaczeni do pomocy austriackim kobietom, których mężowie zginęli na froncie.

Jadąc do Austrii zapamiętałem jedno zdarzenie. Staliśmy na boczniczy stacji, na której mieliśmy wysiadać. Przez szparę wagonu widziałem pod lasem wykopane doły z ziemią usypaną wzdłuż nich. Na nasypie nago klęczeli tyłem do nas ludzie i co jakiś czas postać zniknęła, nie wiem, może wpadała do tego dołu.

Jak nas rozładowano to prowadzono nas pod bronią. Za płotem byli żydzi, gdzie jedna żydówka wyciągała przez płot rękę i prosiła o chleb, a żołnierz podszedł i uderzył ją kolbą karabinu - ta zakrwawiona ręka wisiła.

Przetransportowano nas do gospodarstwa ogrodniczego, mieli tam też kozy, z którymi się bawiłem. Tam byłem z babcią i znowu z dwoma ciociami, wszystkie one pracowały w tym ogrodnictwie. Nie pamiętam ile tam byliśmy, ale były tam truskawki i robiono z nich dzemy, ponieważ wysyłano je na front.

Później przewieźli nas do kolejnego gospodarstwa. Nie było nam tam źle. Tu były duże winnice, bydło. Mieliśmy też dużo swobody, mogłem się bawić z dziećmi austriackimi, były dobre warunki mieszkaniowe. Pani gospodarz chciała mnie nawet adoptować. Byliśmy tam do ok września 1944 roku.

Pewnego dnia pani gospodarz powiedziała nam, że już jesteśmy wszyscy wolni i już u niej nie pracujemy. Na ulicach wszędzie było widać tłumy błąkających się ludzi. Austriacy zorganizowali transport do Polski w bardzo wygodnych pociągach (nie już w wagonach bydłowych). Jechaliśmy przez Czechy i Wrocław. Tam nas przesadzono już do wagonów bydłowych. To był koniec 1944 roku kiedy dowieziono nas do Łodzi, na hale fabryczne, które były obozem koncentracyjnym. Spaliśmy tam na betonie. Była z nami jedna z cioć, bo druga zaginęła nam gdzieś w Austrii. Ta ciocia zachorowała i trafiła do szpitala. Babcia dostała przepustkę i była ją tam odwiedzić. Babcia opowiadała, że w tym szpitalu były powybijane okna (a to była zima), ciocia tam zmarła.

17 lutego 1945 roku obudził nas huk. Następnego dnia rano wjechały dwa rosyjskie czołgi, wywaliły bramę i powiedziano nam, że jesteśmy już wolni. Kto mieszka od Łodzi w kierunku na wschód, to tam już jest Polska wolna, a na zachód to muszą jeszcze poczekać. My z babcią zostaliśmy jeszcze tydzień w tej fabryce, tylko zmieniliśmy budynek na cieplejszy. Potem wyszliśmy na miasto i spaliśmy ze dwa tygodnie u jakiejś Niemki.

Następnie razem z babcią szliśmy na pieszo po drogach, żołnierze po drodze nas karmili. Na jakiejś stacji wsiedliśmy do pociągu, który bardzo powoli toczył się w stronę Poznania. Pociąg na każdą noc stawał, więc chodziliśmy do ludzi i zawsze ktoś nas gdzieś przygarnął na noc. W pewnym momencie zaczęliśmy ponownie iść na pieszo ale zachorowałem i trafiliśmy do jakiegoś gospodarza na noc. Okazało się, że ten gospodarz jest bratem kowala z naszej wsi. Babcia zostawiła mnie u tych ludzi i sama na pieszo poszła do naszej wioski. Po jakimś czasie przyjechał po mnie bryczką ten kowal i zabrał do babci, to był gdzieś marzec.

Jak wyglądał wasz dom po wojnie?

Dom był w dobrym stanie, bo była tam ta ciocia, która pracowała u Niemca. Jak Niemiec uciekał to ciocia wraz z innymi ludźmi pozabijali zwierzęta, więc mieliśmy dużo jedzenia, ziemniaków, mąki. Jak zobaczyłem te szynki wiszące, po tych czasach głodu jakiego doznaliśmy z babcią, to byłem szczęśliwy. Po kilku miesiącach pojawiła się też ta zaginiona ciocia w Austrii.

We wrześniu poszedłem już do szkoły. W tym czasie ojciec wrócił z obozu do Czarnożył, mojej rodzinnej wsi. Moje rodzeństwo wojny nie odczuło, żyło im się w miarę normalnie.

Jakie były Pana dalsze losy?

Chodziłem tam do pierwszej klasy. Ciocia brała ślub w Szczecinie i przy tej okazji tata miał mnie zabrać do domu- tak też się stało. Pojechaliśmy do miejscowości Bryń koło Choszczna.

W 1955 roku miałem ponowny kontakt ze Szczecinem. Były to czasy ogromnej biedy. Skończyłem siódmą klasę, ale tata nie miał pieniędzy, żeby posłać mnie dalej do szkoły. Bardzo lubiłem czytać książki, przeczytałem wszystko co było w bibliotece. Później książki pożyczałem od księdza. Byłem już dwa lata po podstawówce, tata chciał żebym przejął po nim gospodarkę, a ja marzyłem się uczyć. Pewnego razu ksiądz zaproponował mi taką ogólnokształcącą szkołę w Warszawie. Kilka dni później koledzy powiedzieli mi, że złożyli dokumenty w technikum wodno-melioracyjnym w Szczecinie Zdrojach, czyli tam gdzie mieszkała ciocia. Napisałem list do cioci z prośbą, aby poszła do tej szkoły i zapytała o wszystko. Ciocia kazała mi przyjechać i zdawać egzaminy, obiecała mi też pomóc.

Przez te dwa lata przerwy chodziłem na takie kursy zimowe (doksztalcające), żeby mieć ciągły kontakt z matematyką i innymi rzeczami. Egzaminy zdałem bez problemu, byłem na początku u cioci a później dostałem internat, miałem stypendium. I tak skończyłem tą szkołę. Później tą samą naukę kontynuowałem na studiach.

To w takim razie skąd ten Goleniów?

Poszedłem do pracy do Rejonowego Przedsiębiorstwa Melioracyjnego w Szczecinie i oni wykonywali prace w różnych miejscach m.in. w Modrzewiu. W Modrzewiu zapoznałem żonę, mam też dwie piękne córki.

Potem pracowałem w Powiatowej Radzie narodowej - Referat wodnych melioracji, który po pewnym czasie zamienił się w Inspektora wodnych melioracji, później na Wojewódzki Zarząd wodnych melioracji. Praca moja była barwna: byłem też Wice Prezesem GS, Dyrektorem oddziału GS w Stepnicy, pracowałem w Urzędzie Rejonowym jako Kierownika oddziału ochrony środowiska, potem automatycznie przeszedłem do Starostwa i ostatecznie już na emeryturę.